

W Teatrze Wiejskim Węgajty

SPOTKANIA I ŚWIĘTA

Gdy po raz pierwszy przyjechałem do Węgajt, wszystko było w trakcie tworzenia. A pierwsze zdanie pisanej wówczas relacji brzmiało tak: „Teatr Wiejski Węgajty wyłonił się z olsztyńskiej Pracowni jako autonomiczna grupa na przełomie 1986 i 87 roku”. Sama Pracownia zaczęła działać dziesięć lat wcześniej.

„Interesują nas zjawiska szersze niż sztuka, zjawiska twórczości, a wśród nich szczególnie te, których warunkiem jest wielorakość odbioru, aktywne uczestnictwo, uznawanie wartości, kolektywność i odwaga” – cytowała Aldona Jawłowska fragmenty programu Pracowni w książce *Więcej niż teatr*. „Sensem głównych działań będzie proces twórczy, współuczestnictwo w nim, jego trwanie i penetracja. Koncentrować się będziemy bardziej na samej twórczości niż na dążeniu do uzyskania gotowego produktu w formie spektaklu, wystawy itp.” Słowa te wciąż zachowują ważność, choć już za chwilę będą jeszcze jedną, kolejną częścią historii. Podobnie zresztą jak zdanie z końcówki relacji o Pracowni, nieaktualne już w momencie, gdy książka *Więcej niż teatr* ukazała się na rynku: „Jednakże zespół nie przekształcił się w teatr”. Z zespołu Pracowni wyłonił się Teatr Wiejski Węgajty.

Ale to tylko fragment historii. „Nie wszystko jest złotem, co świeci się – z naszej historii ujawniono tylko część” – śpiewał Bob Marley. Są jeszcze fragmenty, które można opatrzyć tytułami „Laboratorium” (członkowie Pracowni uczestniczyli w jego stażach), „Gardzienice” i „Sur”, osobiste relacje i fascynacje tych, którzy dziś tworzą ową teatralną wspólnotę oraz tych, którzy przybyli na spotkanie. Powstały też spektakle, wystawy, przedstawienia. Najnowsze nosi tytuł *Gospoda ku wiecznemu pokojowi*. Poprzednie to *Opowieści Vincenza*. Gdy oglądałem je na wiosnę po raz ostatni, w trakcie seminarium opatrzonego tytułem *Blizsze Ojczyzny*, zwątpiłem w „multimedialność” teatru.

To właśnie wtedy, w Węgajtach (a właściwie w Kawkowie, we wsi sąsiedniej) zobaczyłem owo „promieniowanie w sztuce”, o którym mówił Grotowski i uczestniczyłem w narodzinach „nowej istoty”, poczętej ze spotkania „źródeł” z „nami”. I pomyślałem, że oto spełnia się to, co z dawna oczekiwane: Święto.

„A co jest potrzebne? Co żyje? Przygoda i spotkanie, nie byle jakie; aby stało się to, co pragniemy, by się z nami stało, a później, by się stało także z innymi, pośród nas. Co nam do tego jest potrzebne? Na początek – aby było miejsce i swoi, a później, żeby przyszli także nieznani swoi; czyli na początek, by nie być w tym samym, a później, abyśmy nie byli w tym sami. A co znaczy swoi? To ci, którzy oddychają tym samym powietrzem i – można by powiedzieć – dzielają nasze zmysły. Co jest możliwe wspólnie? Święto” – pisał Grotowski.

Więc na pewno stodoła w Węgajtach to takie miejsce. I zespół – najpierw jedna czy dwie osoby, które zapraszają innych do wspólnego bycia w tym miejscu, w przestrzeni tego miejsca i tego wszystkiego, co wokół. W pierwszych wersjach *Opowieści Vincenza* spektakl „przemieszczał się” ze stodoły na pagórek za chatą i z powrotem, a poprzedzony był długim marszem przez las. Zresztą owa „niedogodność” przemieszczenia stanowi o odrębnej wartości spotkania-spektaklu.

Łatwiej używać dziś owej awangardowej (kiedyś) i ezoterycznej (obecnej wewnątrz bardzo małych kręgów) terminologii, albowiem – parafrazując Grotowskiego – „niektóre słowa ożyły, mimo że dawno ich nie używaliśmy. Są takie, które ożyły nie dlatego, że zastąpiono je innymi, ale dlatego, że ożyło to, co oznaczają. Tak jest przynajmniej dla wielu z nas. Do takich słów należy: spektakl, przedstawienie, teatr, widz itd”. Do tych słów dodajmy jeszcze: święto i spotkanie.

W pierwszych wersjach *Opowieści Vin-*

cenza zdaniem kończącym spektakl było: „Ci, których dawno tu nie ma, powrócili do nas” (później włączono je do „wewnętrznej kulminacji” przedstawienia). Wracają więc zagubione sensy, zatracone znaczenia, zapomniane słowa i melodie, zaprzepaszczone szanse i zamglone wspomnienia. To kolejny rozdział nie napisanej historii. Wędrownica za tym, co wraca. A może to jest osobne, za czym innym wędrowanie, a to, co się ujawnia, jest niejako po drodze. Tego się nie da wymyślić, wykoncypować, ułożyć sobie w głowie i po intelektualnej obróbce przedstawić na piśmie jako gotowy projekt działań animacyjno-kulturowych, kulturotwórczych czy teatralno-oświatowych. Więc na pewno coś obumiera, ale po to, by rodziło się następne: takie jest bowiem prawo natury i nie należy go przekraczać. Twórcy teatru w Węgajtach są tego świadomi. Nie przypadkiem tam właśnie odbywało się seminarium pt. *Teatr i Ekologia*. Nie przypadkiem przyjeżdżają do Węgajt młodzi ludzie z całej Polski. Choć nikt nie sprzedaje biletów dla całych szkół i klas, choć pozycje repertuarowe nie stanowią kanonu obowiązkowych lektur, a nawet – o zgrozo – nie są to przedstawienia w literacko pięknym i zuniformizowanym języku polskim. Ci co mają zrozumieć to rozumieją, ci którzy nie wiedzą – to zapytają. Przywołam jeszcze raz, na koniec, słowa Jerzego Grotowskiego: „Działanie w kulturze czynnej, takie, które daje uczucie wypełniania życia, poszerzenia jego wymiaru, bywa potrzebą wielu, ale pozostaje domeną bardzo nielicznych. (...) We właściwych, powiedzmy, laboratoryjnych wymiarach, pracujemy nad poszerzeniem strefy kultury czynnej. To, co jest przywilejem nielicznych, może stać się także udziałem innych. Nie mówię o jakiejś masowej produkcji dzieł, ale o pewnym rodzaju osobistego, twórczego doświadczenia, które nie jest obojętne dla życia danego człowieka, ani jego życia z innymi. (...) Myślę, że kultura czynna (potoczenie nazywa się twórczością), a zwłaszcza związana z nią percepcja i doświadczenie nie musi być przywilejem wąskich grup zawodowych czy unikalnych jednostek, choć to one tworzą i tworzyć będą sztuki i spektakle”.

Tak jak robią to Węgajty.

Sławomir Gołaszewski